ANIOŁ STRÓŻ

Gazeta dla dzieci.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 3 CHOJNICE, dnia 4-go marca 1926 r. Nr. 9.

Pongo.

— Precz stąd szkaradne psisko! Nie chce cię więcej widzieć! — wołała pewnego dnia panna Kazimiera na dużego, pięknego psa, który stał obok jej wychowanki, Irenki.

— Ach, proszę pani! Przecież Pongo nie jest wcale niegrzeczny! — protestowała dziewczynka, obejmując za szyję kudłatego przyjaciela.

— Ma się rozumieć! Twój Pongo nigdy nie bywa niegrzeczny — z wymówką odpowiedziała panna Kazimiera. — A kto dziś zrana popsuł ulubioną książkę mamusi w okórzanej oprawie? — Wiesz, że rodzice postanowili Ponga sprzedać!

— Sprzedać? — jak echo powtórzyła dziewczynka i wybuchnęła płaczem. — To niemożliwe! Mój kochany Pongo! Ten wierny przyjaciel... — przez łzy woła Irenka.

— To prawda, że Pongo jest dobrym, wiernym psem — mówiła już nieco łagodniej panna Kazimiera, ale pies w mieście, to naprawdę ogromny kłopot! Pies jest za duży na te małe pokoje. Jest przytem nie zgrabny i zawsze coś zbroi. Następnie sama wiesz, ile kosztuje jego utrzymanie.

— Ale Pongo taki kochany! — broniła nadal dziewczynka swego ulubieńca.

Nie pomogły jednak żadne dowody Irenki, ani jej braciszka, Stefka: pies został sprzedany.

Stało się jednak tak, że nabywca Ponga nie mógł go zaraz zabrać do domu i prosił państwa Zaleskich, aby przetrzymali psa u siebie przez kilka dni.

Dzieci ucieszyły się niezmiernie, gdy się dowiedziały, że ich kochany przyjaciel pozostanie z niemi jeszcze przez pewien czas. Niemniej od starszego rodzeństwa cieszyła się mała Alinka, śliczne bobo, o dużych niebieskich oczach i jasnej kędzierzawej główce, gdy zobaczyła, że ów „niegrzeczny pan" odjechał bez jej „Ponio".

Pongo również był zadowolony, że pozostaje na miejscu, choć swem psiem sercem wyczuwał, że to miało być nie na długo.

Przez kilka miesięcy zdążył przywiązać się do państwa Zaleskich, a szczególnie do dzieci, z któremi zawsze chętnie się bawił. W dzień nieraz służył za dzielnego rumaka dla wojowniczego Stefka, lub za łagodnego kucyka dla małej Alinki. W nocy zaś strzegł snu dzieci, nie pozwalając nawet myszkom wysunąć nosa z dziurki. Przez to miał bardzo często nieporozumienia ze starą kotką, Kaśką, która uważała, że to jej obowiązkiem było pilnowanie szarych złodziejaszków.

Ponieważ następnego dnia od samego rana była śliczna pogoda, więc Pongo wraz z dziećmi bawił się w ogrodzie.

Koło południa rozległ się głos:

— Pongo, do domu!

Pies w tej chwili zjawił się w mieszkaniu, porzuciwszy towarzystwo dzieci.

— Słuchaj, Pongo! — rzekł pan Zaleski, gdyż to on właśnie wołał psa i głaszcząc, zaprowadził go do dziecinnego pokoju, gdzie na jednem z łóżeczek spała mała Alinka. — Wychodzimy wszyscy z domu, pozostajesz sam, a więc pilnuj panienki i nie ruszaj się stąd.

Pogłaskał jeszcze raz psa, którego mądre, poczciwe oczy zdawały się mówić.

— Bądź pewny, że dobrze spełnię swój obowiązek! — i wyszedł wraz z żoną i starszemi dziećmi na miasto. Również wyszła z domu i kucharka, Małgosia, przyrzekłszy państwu za chwilę powrócić.

Tymczasem Pongo, przekonawszy się, że malutka śpi mocno, rozciągnął się na dywanie koło łóżeczka Alinki, zmrużył oczy i zaczął drzemać. Z początku leżał spokojnie, oddychając głęboko i równo, raptem ni z tego, ni z owego zaczął warczeć! Pongowi śni się, że jest znów w klasztorze u bernardynów wśród bardzo wysokich gór, okrytych śniegiem i że na dworze szaleje straszna zawierucha. Wraz ze swoimi kolegami, również wielkiemi i silnemi, jak on, psami, skomlą żałośnie pod drzwiami, prosząc, by ich wypuszczono jak najprędzej na ratunek podróżującym.

Pongo nie może zrozumieć, dlaczego zakonnicy jakoś zwlekają z przywiązaniem mu do szyi koszyka z żywnością i winem. Wkońcu postanawia nie czekać na to i przy pierwszej sposobności umknąć w góry, by swem własnem ciałem rozgrzać zabłąkanego.

Wtem nagle rozlega się rozpaczliwy krzyk kobiety, wołającej:

— Moje dziecko! Ratujcie moje dziecko!..

Tego już nie może znieść poczciwe psisko. Z groźnem szczekaniem rzuca się na drzwi, by je wywalić i.. raptem się budzi.

Ale zamiast klasztoru widzi dziecinny pokoik i małą Alinkę, jak dotąd, śpiącą spokojnie w swem wygodnem łóżeczku.

Skąd jednak pochodził ten krzyk? — rozmyśla pies, nastawiając uszy, czy nie usłyszy znów czegoś podobnego. Za chwilę zaczyna coś węszyć w powietrzu.

Co to? Zapach spalonego drzewa! — dziwi się Pongo, nie widząc nareszcie ani ognia, ani dymu, ale przeczuwając coś bardzo złego, zaczyna niespokojnie kręcić się po pokoju.

Wtem słyszy znów ten sam krzyk:

— Moje dziecko, ratujcie, tam na górze!

Pongo w jednej chwili orjentuje się, że te wołania pochodzą z ulicy i czem prędzej wskakuje na okno, by zobaczyć co się dzieje.

Na dole zebrało się mnóstwo ludzi, coś krzyczą i bezustanku wymachują rękami. Zobaczyła psa w oknie pani Zaleska, wyciągnęła ręce i woła rozpaczliwie:

— Pongo ratuj Alinkę!

W pierwszej chwili pies nie rozumiał, czego chce od niego jego pani, ale gdy drzwi, prowadzące do gabinetu, z wielkim hałasem runęły i czarne kłęby dymu wypełniły sobą dziecinny pokoik, domyślił się, że dom się pali i że on musi w jakikolwiek sposób ratować powierzoną jego opiece małą dziewczynkę.

Niedługo namyślając się, potężnym łbem wybija szybę, która z brzękiem rozlatuje się na drobne kawałki, a potem znika z okna.

— Trzeba natychmiast przynieść drabinę — wołają na dole.

— Ale zanim przyniesiecie, pies z dzieckiem się spali — nadmienił ktoś.

— Patrzcie, patrzcie! O, Jezu Chryste! — szeptały po chwili wystraszone kobiety.

I było na co patrzeć. Oto w oknie, wśród kłębów dymu, ukazał się wspaniały pies, trzymający mocno za koszulkę małą Alinkę, która bezradnie poruszała rączkami i nóżkami w powietrzu.

— Prześcieradło, czem prędzej prześcieradło! — zawołał pan Zaleski, któremu nagle błysnęła jakaś zbawcza, myśl.

Wnet niewiadomo skąd przynieśli dużą kapę.

— Trzymajcie, chłopcy! — komenderował pan Zaleski, zwracając się do kilku robotników, którzy gorliwie zaproponowali mu swe usługi, podając każdemu znich róg kapy, a sam wołał pieszczotliwie do psa:

— Pongo, rzuć Alinkę, rzuć — i wskazał ręką, co pies ma zrobić. Chwila wahania, poczem pies puścił dziewczynkę, którą wnet pochwyciły silne ramiona ojca, a następnie oddały ją do rąk wystraszonej matki.

— A teraz ty, przyjacielu! — namawiał pan Zaleski, zachęcając psa, by również skoczył na kapę.

I to zrozumiał Pongo i jednem susem był już na dole.

Cały tłum nie mógł dość nadziwić się zmyślności psa i każdy uważał za zaszczyt dla siebie pogłaskanie go po spalonej i okrwawionej głowie.

A Pongo tymczasem położył się u stóp pani Zaleskiej, trzymającej wciąż na ręku Alinkę, i zaczął lizać swe popalone potężne łapy.

Gdy po paru dniach zjawił się nowy właściciel Pongo, natychmiast zwrócono mu pieniądze za psa który odtąd nazawsze pozostał w domu państwa Zaleskich. I już nigdy nie było mowy o tem, by sprzedać szlachetnego „Ponio“, choć i nadal nieraz bardzo psocił.

Z sierocych gniazd.

Gdy wschodzą ciche promienie gwiazd
Na wieczornem niebie,
Ojcze nasz, Boże, z sierocych gniazd
Na chwałę Twoją rosnąć nam daj;
Niech nam twa łaska świeci,
A niech ma chlubę ojczysty kraj
Z swych przygarniętych dzieci.
Tyś nas opieką otoczył swą,
Pisklęta Twe bezpióre
Niechże się dusze nasze rwią
W górę, ku światłu, w górę!
Ojcowską ręką błogosław nas,
Otwórz nam serca bliźnie,
A pozwól służyć, gdy przyjdzie czas,
I Tobie i Ojczyźnie.

Obyczaje Słowian.

W dawnych czasach i lud słowiański nie znał religji chrześcijańskiej kłaniał się swoim bóżkom i dzielił się na różne drobne ludy, mające mowę tę samą i obyczaj

Ludy słowiańskie jednakowo mówiły naszym językiem, jednakowo się ubierają włościanie, tyle tylko, że butów i pasów nie nosiły.

W gospodarstwie do orki mieli woły, sochy i płużyce. Konie miewali tylko bogatsi; kapoty nosili wełniane, a płótna nie znali, bo ani lnu, ani konopi jeszcze nie siewali. Ziarno mełli na żarnach, nie znając młynów, a chleb piekli tylko w popiele, jako podpłomyki. Gorzałki nie było wcale, tylko piwo z jęczmienia i dzikiego chmielu warzone, a co do miodu, to już wielki dostatek, z którego do picia miód warzyli.

Ludy te słowiańskie były ciche i pracowite, ale gdy je kto zaczepił, biły się tego i broniły swoich siedzib dzielnie; a gdy przyszło do wojny, obierali sobie starszego, który był najwaleczniejszy i jego we wszystkiem słuchali. Zbierali się też starsi na wiece czyli na narady, na których przemyślali o dobru i potrzebach gmin, które już wtenczas były bardzo mądrze urządzone. Potem lubili oni bardzo muzykę i śpiewy, a byli serdeczni i gościnni.

Z owych to drobnych plemion coraz większa powstawała Polska.

Ku wiosence.

Hej, ty zimo surowa,
Czyś do drogi gotowa?
Czy myślisz wiekować,
Biedną ziemię mordować!
Dosyć tego władania,
Już cię wiosna wygania,
Swiat wyciąga już ręce
Ku wiosence, wiosence!

Lód tak pryska jak szkiełka,
Hej, swobodna Wisełka
Płynie sobie i szumi,
Głos wiosenny rozumie,
Że śpiewaniem swej fali
Mknie wciąż dalej i dalej,
Ku promiennej panience,
Ku wiosence, wiosence.

A więc, zimo, nie zwlekaj,
I co rychlej uciekaj,
Srożyłaś się jak jędza,
Dziś cię wiosna wypędza,
Swiat w radości uroczej
Zwraca serca i oczy
Ku złocistej jutrzence,
Ku wiosence, wiosence!

Wesoły kącik.

Podejrzliwość.

— Słyszę, że pani opuszcza nasze miasto i przenosi się na stałe do córki zamężnej. To bardzo przykro...

Niemłoda dama porywczo:

— Gadaj mi pan wyraźnie, komu ma być przykro: waszemu miastu, czy memu zięciowi?